

Dziewczyna na wózku inwalidzkim była szczupła i chyba niezbyt wysoka, tak przynajmniej Beacie się zdawało, chociaż trudno określić wzrost kogoś, kogo widzi się tylko w pozycji siedzącej. Miała czarne kręcone włosy, takie jak jej córeczka, a cerę bardzo jasną, prawie białą, co w połączeniu z intensywną czerwienią małych warg tworzyło ciekawy kontrast. Uczepione wózka dzieciaki przekrzykiwały się radośnie, przy czym niespełna dwuletni Adaś hałaśliwym piskiem nadrabiał braki w słownictwie. Jego siostra wrzeszczała mniej, ale przynajmniej dało się ją zrozumieć.

— Babciu, powiedziałam mamie, że do nas przyszła pani z telewizji, a mama śmiała się i nie chciała mi wierzyć.

Pani Goździkowa, która właśnie wróciła z kuchni, niosąc na blaszanej tacy czwartą szklanekę i półmisek wypełniony owocami i cukierkami dla prawnuków, roześmiała się wesoło.

— Nie z telewizji, Beatko, tylko z gazety. Jak już podsłuchujesz pod drzwiami, to przynajmniej słuchaj uważnie.

Potem przedstawiła Beacie wnuczkę. Ręka, którą Ewa wyciągnęła, była jeszcze bielsza od jej twarzy, poprzecinana błękitnymi żyłkami. Na przedramieniu widniała ogromna blizna. Beata nie mogła od niej oderwać wzroku, ledwie pohamowała się, żeby nie zapytać, skąd się wzięła.

Pani Rozalia z powrotem zasiadła za stołem, obok męża, który w międzyczasie zdążył zapaść w głęboki sen. Oparty o poręcz, z głową odchylną do tyłu, zamkniętymi powiekami i na wpół otwartymi ustami, przypominał zabalsamowaną mumię. Żona trąciła go łokciem.

— Zygmunt! Obudź się! Mamy gościa...

Poruszył się, przegiął głowę na lewy bok, później na prawy, otworzył oczy, wymamrotał:

— Tak, tak... — I zasnął na dobre.

Pani Goździkowa ciężko westchnęła.

— Teraz to trzęsienie ziemi go nie ruszy. Może tak spać do nocy... Beatko, nie przeszkadzaj dziadkowi — upomniała prawnuczkę, która, podskoczywszy do pogrążonego we śnie pradziadka, zaczęła zawzięcie szarpać go za rękaw.

— Ale babciu! Dziadek nie może teraz spać, bo go nie pokażą w gazecie!

Beata wyjęła z torebki aparat cyfrowy i zachęcająco uśmiechnęła się do dziewczynki.

— Nie martw się, pokażemy dziadka w gazecie. I babcię też. I jak będziesz chciała to ciebie także.

Mała krzyknęła entuzjastycznie:

— Tak, mnie też! — I dla zademonstrowania swojej radości przeleciała przez cały pokój, wymachując podniesionymi ramionami jak sprinter dobiegający do mety.

Beata skierowała pytające spojrzenie na panią Rozalię.

— Pozwoli pani, że wykonam kilka zdjęć?

Pani Goździkowa, widocznie znużona przedłużającym się udzielaniem wywiadu, wyglądała teraz, jakby miała ochotę pójść w ślady męża. Ewa przysunęła się do niej na swoim wózku.

— Babcia powinna już się położyć — stwierdziła, niepewnie patrząc na Beatę. — Ale na zdjęcia chyba się zgodzi, prawda babciu?

Pani Rozalia bohatersko podniosła się z krzesła, wyprostowała i starannie poprawiła zawiązaną pod brodą kolorową chustkę.

— Wcale nie jestem taka zmęczona, Ewuniu — powiedziała do wnuczki. — I do zdjęcia mogę pozować... Ale gorzej z dziadkiem. Jak to będzie wyglądać na zdjęciu? Żeby gospodarz domu spał przy stole... I to ludzie w gazecie zobaczą...

Beata pospiesznie zapewniła:

— Ale to nic nie szkodzi. Zdjęcia się sformatuje na komputerze i nikt się nie połapie, że pan Zygmunt śpi. Najlepiej, jeśli pani się ustawi po prawej stronie pana Zygmunta, a wnuczka z dziećmi po lewej... O tak, teraz jest dobrze... Tylko niech mały Adaś nie ciągnie siostry za włosy... I lepiej by było, gdyby Beatka nie szturchała brata... Tak, teraz mogę sfotografować całą rodzinę...

Pani Rozalia, stojąca naprzeciwko aparatu we wdzięcznej pozie i z medialnie wystylizowaną miną, nagle spochmurniała.

— Ale moje dziecko, tu nie ma całej rodziny. Jeszcze mąż Ewy...

— To może zaczekamy na niego? — zaproponowała Beata.

Pani Goździkowa osunęła się na krzesło.

— Możemy zaczekać... Tylko niewiadomo, kiedy on wróci. Chyba, że ty wiesz, Ewuniu?

— Nie wiem, babciu — odrzekła Ewa. — On też nie wie. Jak byłam w szkole, zadzwonił do mnie na komórkę i powiedział, że idzie do sołtysa, bo tam dwie krowy się cięlą. A z porodami nigdy nic nie wiadomo. Mój mąż jest weterynarzem — dodała, zwracając się do Beaty.

Ustawione do zdjęcia dzieci wierzły się niecierpliwie. Powiadomione przez prababkę, że sesja fotograficzna ma się opóźnić, bo „trzeba poczekać na tatusia”, wybiegły do ogrodu, aby czymś sobie urozmaicić czas oczekiwania.

Właściwie wybiegła Beatka, natomiast Adaś, nie mogąc nadażyć za siostrą, ostatecznie zrezygnował z niewygodnej postawy pionowej i spokojnie powlókł się na czworakach.

— Uważaj przez próg, Adasiu! — ostrzegła go pani Goździkowa.

Ewa z uwagą obserwowała mozolne wysiłki synka, po czym z wyrazem macierzyńskiej dumy w oczach odwróciła się do babki.

— Nie ma co panikować, babciu. Adaś świetnie sobie radzi... O zobacz! Już wstał. I to zupełnie sam!

W ciągu następnych kilkunastu minut trzy kobiety, siedzące przy stole w towarzystwie uśpionego starca, wymieniały zdawkowe komentarze na obojętne tematy. Nagle zadzwonił telefon komórkowy Ewy. Wyjęła go z jakiegoś prowizorycznego schowka umieszczonego w bocznym rogu wózka. Rozmawiała przez krótką chwilę tak ściszym głosem, że wypowiedane słowa ledwie było słyhać, ale zrozumieć ich nie dało się wcale.

— To Wiktor — oznajmiła, rozłączywszy się. — Zaraz będzie w domu.

„Wiktor?” — powtórzyła w myślach Beata. — „Ciekawe... Facet jest weterynarzem, ma córkę Beatę, syna Adama i imię Wiktor... Tyle zbiegów okoliczności...”

Do pokoju wpadła rozradowana Beatka, wlokąc za rękę Adasia.

— Mamo! Babciu! Tatusz już przyjechał.

W otwartych drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna — niemłody, ale przystojny, o regularnych rysach twarzy i bujnych siwiejących włosach, równymi falami otaczających wyniosłe czoło.

Beata znieruchomiała. Rozszerzone źrenice, utkwione w przybyłym człowieku, pokryły się gęstą mgłą. Zobaczyła swojego ojca, którego pochowali cztery lata temu.